№ 20.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1843. Poznań, dnia 27. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W przeszłym numerze pisma naszego zastanawialiśmy się nad temi paniami, co to delikatne, czułe, po salonach całą w koło siebie atmosferę poruszają tkliwemi westchnieniami dla ludzkości, a potém w swoim gabinecie bez powodu nieludzko dokazują nad służącą. Mężczyzni pod tym względem znowu inaczéj występują przed światem, bo prawią publicznie o demokracyi, o prawach człowieka, a częstokroć w środku rozmowy dokazują nad człowiekiem sobie podwładnym: występują jak owa dewotka w bajce Krasickiego, co to mówiąc: „i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom" biła bez litości swoją służącą. Są wielkie zjazdy po niektórych miastach zagranicznych i ciśnie się do stołu w hotelu po trzysta osób na raz, a przecież tam wszystko grzecznie, porządnie. Jakiż zaś u nas gwar ze samych słów dokazujących; ile wymyślania o jadło w tym domu na kelnerów, a w drugim na dziewczyny, którzy mając tylko tyle styczności z kuchnią, że przed jéj drzwiami półmiski odbierają, ledwie wiedzą co obnoszą i nigdy za potrawę obnoszoną odpowiadać niemogą. Zwykle zabraknie jednéj lub drugiéj potrawy i wtenczas inna, jako surrogat pierwszéj, na prędce zrobiona, zastąpić ją musi, a wtedy zaraz hałas, że za równą zapłatę, równe wszystko być powinno. Służący biegają, pot im kipi z czoła, a ten woła o krzesło, ów o talerz, inny że widelec nienależycie wychędożony, i to zaraz w grubych wyrazach. Przy wielkich zjazdach te zarzuty są wprawdzie uzasadnione, ale człowiek rozumny powinien mieć wzgląd, że oberze nasze przez cały rok są wielkie dla publiczności, na Święty Jan i jarmark wełniany ledwie jéj setną część pomieścić zdołają. Niemogą się zaś urządzać na zjazdy nadzwyczajne, kilka dni w roku trwające, ale tylko muszą się stósować do zwykłéj liczby swoich stołowników, bo inaczéj podołaćby niemogły i upaśćby musiały. Kiedy w Polsce były elekcye, to kilkakroć sto tysięcy zjeżdżało się szlachty, a Warszawa liczyła trzydzieści tysięcy mieszkańców. Cóżby też to było, gdyby każdy był żądał życia za swoje pieniądze jak w domu. Zjadł więc objad u tego co miał kuchnią, jeżeli jéj sam nieprowadził; popasł konia na łące i mówił że na elekcyi życie jest tak obozowe, jak w potrzebie tureckiéj.

Trzeba więc uważać że zjazdy nadzwyczajne po miastach polskich są zawsze podobne do obozu na potrzebie tureckiéj. Nieporządkowi niewinien bynajmniéj gospodarz oberzy, ale jest skutek wyływający z położenia odmiennego miast w Polsce, z powodów narodowych aż przed historycznych.

Jest u nas miłość ojczyzny wielka, ale jak to dziwnie się odbija, że ten, co dokazuje po oberzach krajowych na swoich rodaków, pospolicie najgrzeczniejszym bywa dla cudzoziemców za granicą. Sam piszący ten artykuł, był raz przy stole publicznym w Warszawie, kiedy jeden kawaler fashionable, który dumnie, milcząco i niewdając się z nikim przy stole siedział i z téj przyczyny, że niedostał bardzo śpiesznie talerza, krzyknął na gospodarza domu, który nawet niegdyś jako wyższy officer w wojsku służył: „skoro sam nieposługujesz, to pilnuj aby był porządek," ten sam kawaler zjechał się z piszącym w Frankfurcie nad Menem w oberzy pod Białym Łabędziem — a że to było podczas jarmarku nadzwyczaj licznego, także niedoznał lepszéj posługi, jak w Warszawie — nic przecież niemówił, a po zjedzonym obiedzie za-

siadł do gry w pikietę z Oberkelnerem. Za granicą, zaraz jako drzewo z liścia na zimę, opadł ze swojéj dumy, z grubiaństwa, z gniewliwości.

Pełno ludzi wychodzi ze zasady, że każdy za swoje pieniądze może żądać wygody, a dla tego wolno mu dokazywać. Co do żądania wygody, bardzo słuszna zasada, lecz nie co do dokazywania. On płaci za jadło lub pomieszkanie, ale bynajmniéj nie płaci za wolny wrąb dla swego grubiaństwa.

Jeden cudzoziemiec, który znał dobrze Polaków, napisał uwagę, że we wszystkich krajach przychodzący do stołu publicznego, poczytuje się za gościa w jednej tylko Polsce, chce grać rolę gospodarza. Słuszna to bardzo uwaga i pokazuje, jak przy nieporządku z niedostatku powstaje nieporządek z usposobienia umysłowego. My tu zaś jeszcze dodać możemy, że każdy szlachcic rodził się do korony, był więc kandydatem na króla, a król przez cały swój kraj zwykle się za gospodarza uważa.

Ponieważ dokazywanie wzięło główny początek od tych, co to bez ukształcenia przebiegali obce kraje i nieumiejąc zgłębić nigdzie przyczyny i powodu, świat tylko podług oberzy cenić się nauczyli i którzy bez ustanku wołają: co to jest za granicą! A jak to u nas? ztąd szlachta swego chowu, zapiecowa dla przybrania tonu owych wojażerów, poszła w naśladowanie i w krzyki.

Ale żadne uwagi i moralizowanie nieoduczą tych co do złego nałogu przywykli: to sami służący odeprzeć muszą; niech tylko na każde grubiaństwo daleko większe odrzucą, niech za wycięcie policzka do krzesła się wezmą, a wtedy honor paniczów zacznie się dobrze mieć na ostrożności.

Portret Króla Jana.

Powieść

L. Siemieńskiego.

— Jeśli to prawda, że dusza po śmierci może nawiedzać osoby, zostające z nią w ścisłych stosunkach za życia, tedy kochany mój Wiktorze wzywałbym cię nieraz do pogadanki o naszym wieku szkolnym, pełnym tylu uroczystych przypomnień i uczuć tak ogarniających wszystko, tak wonnych, bo pierwszych. Niema cię biedny młodzieńcze! zniknęłeś po krótkim, burzliwym poranku, zniknęłeś może bez śladu w sercach twoich znajomych, ale bądź pewny, że nie w mojém; bo ilekroć przebiegam pasmo swobodnych dni studenta, co się często trafia, gdy jaki ból wewnętrzny dojmie, tylekroć widzę cię przy moim boku: już to nad książką, już na przechadzce, już śród marzeń złotych, które jak bańkę mydlaną wspólnemi duchy pędziliśmy w górę.... Dla mnie tyś nie zginął. Choć mi opowiadali bracia wracający z wypraw Algierskich, jak z amputowaną nogą jechałeś na wozie w czasie rejterady z pod Maskary, jak napadnięci od Beduinów odstąpili cię towarzysze broni, i, tylko z daleka, widzieli Araba ucinającego ci głowę, którą poniósł przed namiot Abdelkadera — dla mnie tyś nie zginął; bo i teraz, kiedy tę powiastkę kreślę, widzę cię jeszcze, jak ramię w ramię z papierami pod pachą wychodzimy z pojezuickiego kolegium. Ulicę, którą mamy wracać do domu, zastąpili więźnie kryminalni, oczyszczając ją z błota lub śmieci; jedni przykuci do swych taczek, drudzy z miotłami i łopatami. Nawykli do tego widoku, nie zwracaliśmy na nich uwagi, aż jeden z tych winowajców, z ogromnemi kajdanami i do taczki przykuty, w chwili, gdyśmy go mijali, wyciągnął ku nam rękę z rożkiem tabaki, i rzekł:

— Dzień dobry, zacni panicze! spróbujcie mojéj tabaczki.

Na to zagabanie cofnęliśmy się obadwa, jakby lękając się dotknięcia człowieka potępionego za zbrodnie; lecz w jego postawie, a mianowicie w twarzy delikatnéj, lubo wyżółkłéj, przebijał się typ człowieka niepospolitego stanu; wreszcie sposób, w jaki nam ofiarował niuch tabaki, tak trącił cywilizacyą wyższego świata, żeśmy nie mogli się powściągnąć od zapuszczenia w nią palców.

— Spomóżcie też biednego! — dodał następnie z taką godnością, że na nas zrobił wrażenie rozkazu. I każdy z nas wsunął mu po parę groszy do ręki.

— Dobre z was dzieci! Bogusławski, gdyby nie miał tych oto obrączek, odwdzięczyłby się wam hojnie.

— Bogusławski!?... — krzyknął moj Wiktor.

— Tak, dzieci moje, ten zawołany Bogusławski, co lepiéj odgrywał swoję rolę, niż brat jego na scenie; patrzcie, na co przyszedł!...

— Bogusławski!... ach, mój Boże! — krzyknął Wiktor.

— Cóż ci to bracie? zmięszanyś, pobladłeś? — mówiłem do niego, a on uciekając prawie ciągnął mię za sobą.

— Okropne spotkanie!...

— Jakto, czy go już widziałeś kiedy?

— Widziałem; tak, byłem jeszcze dzieckiem, pamiętać nie mogę, ale matka moja!...

— Matka twoja?... czy może?...

— Straszliwa historya! opowiadanie jéj nieraz sprawiło mi noc bezsenną w dzieciństwie, a nawet teraz, kiedy o tém myślę, dreszcz mię przejmuje.

— Opowiedz, jak to było? do wieczora daleko, będziemy dobrze spali.

— Chyba później kiedy; teraz godzina obiadowa.

— Do pół do pierwszéj daleko; dość czasu — przejdźmy się cokolwiek po ogrodzie.

— Trzeba ci wiedzieć, mówił Wiktor zniewolony moją prośbą, że człowiek, ktoregośmy spotkali, był zawołanym rabusiem na całą Polskę; to w Karpatach, to na Wołyniu, to na Polesiu, to w lasach świętokrzyskich, jak drugi Rinaldini, dokazywał cudów swojego rzemiosła. O! nie był to pospolity rabuś; bo i on przyjął był maxymę: łupić bogatych, a dawać ubogim. Nie powiem ci wszakże, jak daleko rozciągała się ta jego osobliwsza filantropia; to jednak pewna, iż wszędy miał swoich wspólników, w różnych klassach społeczeństwa; którzy go nie raz, nie dwa, ale kilkadziesiąt wybawiali z rąk zwierzchności. Do tego i to się przyczyniało, iż był obdarzony nadzwyczajną przytomnością umysłu, która go nawet w najtrudniejszych razach nie odstępowała, tak, że całe dzieło możnaby napisać o dziwnych sposobach, jakiemi się z więzień ratował. Możesz sobie wyobrazić, że człowiek z tak przedsiębierczym charakterem był postrachem okolic, a dla urzędu nieustannym kłopotem. Dowodem wielkiéj jego przytomności jest sztuczka, jaką odegrał podobno w Berlinie — bo trzeba ci wiedzieć, że zwiedzał nawet zagranicę. Obok hotelu, gdzie zajechał, był sklep bogatego bardzo jubiliera; ludzie jego rzemiosła zwykle chrap mają na takowe błyskotki; owoż Bogusławski postanowił przyjść do brylantów i klejnotów następującym fortelem: najprzód idzie do sklepu i kupuje za gotówkę kilka drogich pierścieni i innych fraszek, przyczém zabiera z kupcem znajomość. Po niejakim czasie zwierza się jubilierowi, że musi wyjeżdżać do Francyi, i prosi, czyby nie przyjął na skład do siebie paki z różnemi kosztownościami, którą dopiero późniéj mu odeszle, stósownie do wskazanego sobie adresu. Jubilier chętnie przystał na tę drobną usługę, i kiedy nazajutrz przyniosło dwóch ludzi pakę, kazał ją dla bezpieczeństwa postawić w sklepie. Z przyjściem nocy, gdy sklep miano zamykać, wpuszczono psa, jak to zwykle czyniono z ostrożności przeciw złodziejom; tuż zaledwie się w domu pokładli, gdy rozległo się przeraźliwe szczekanie. Uderzyło to jubiliera, któren kazał zapalić świecę, i poszedł z czeladnikiem przekonać się, jaki być może powod onego hałasu. Gdy weszli do sklepu, pies szczekał zajadle i rzucał się na pakę, gdy w tém usłyszano wewnątrz bicie zegarka. — Domyślam się, mówił kupiec. Głupie psisko! ten pan zapewne ma tu zapakowany zegar, który będzie bił, dopóki nie wyjdzie — piękna rzecz, psisko nie da nam oka zmrużyć przez całą noc, trzeba go wypędzić na dwór. — Rozespane Niemcy jak uradzili, tak zrobili — ale nazajutrz gorzkie było obudzenie, bo Bogusławski wyłamał się z paki i sklep okradł. Godny podziwienia ten jego koncept puszczenia sprężyny zegarkowéj, którą oszukał jubiliera i nie dał mu odgadnąć prawdziwéj przyczyny szczekania.

— Prawda, mówiłem śmiejąc się, że to nie lada przytomność — ale niezapominaj obietnicy i opowiedz twoją przygodę. — Wiktor tak zaczął:

— Byłem podówczas jeszcze trzechletniém dzieckiem, a dzieckiem pierwszém moich rodziców, kiedy ojcu memu, który chodził po dzierzawach, wypadało się przenieść z pod Radomia w góry świętokrzyskie, gdzie zadzierzawił był piękną majętność z klucza wojewody***. Część naszych ruchomości, przytem bydło i trzody wyprawiono już na nowe gospodarstwo, dla uporządkowania zaś domu, ojciec mój, który nigdy nie lubił rozstawać się z żoną, tą razą widział się być zmuszonym wysłać ją przodem wraz zemną, gdy on tymczasem kończył interes z żydami o sprzedaż znacznéj krestencyi w snopie, któréj niemógł przed wyjściem dzierzawy wymłócić. — Przy pożegnaniu, które było bardzo czułe, bo prawie pierwsze od pobrania się mówił méj matce: dziś zajedziesz do państwa cześnikostwa, tam zanocowawszy, jutro przed południem staniesz na nowém gospodarstwie, a na wieczór spodziewaj się mnie niechybnie, albowiem markotnoby mi było, gdybyś miała w tém starém, posępném domisku pierwszą noc sama jedna przepędzić. Jak mój ojciec ułożył, tak się też i stało; po gościnném przyjęciu u cześników wyjechaliśmy do świtu i na dziesiątą przybyliśmy na miejsce. Matka moja niechcąc ludzi od innych zatrudnień odrywać, wzięła ze sobą tylko pannę służącą i starego furmana; część zaś domowników, którzy rzeczy wieźli, wrócili z podwodami dla zabrania reszty, mając je w nocy lub nazajutrz dostawić. Podstarości, pisarz, wszystko to jeszcze zostało na starém gospodarstwie. Byliśmy więc niejako samotni w ogromnym, murowanym, staroświeckim dworze, którego komnaty wysokie, obicia ciemne i ruszające się za każdém drzwi otworzeniem, obrazy antenatów pana dziedzica z ogromnemi wąsami, ciasne kurytarze, drzwi maskowane, dziwną sporność tworzyły z dawniejszą naszą wiejską siedzibą, szczupłą, o wybielonych ścianach, nizkich okienkach,

ale wesołą i schludną. Że dzień był słoneczny, a bardziéj, że trzeba się było zająć ustawieniem zwiezionych mebli, rozporządzeniem izb na sypialne, jadalne, garderobę, spiżarnię, przeto w tym ustawnym ruchu matka moja nie doznała żadnego wrażenia; owszém cieszyła się mieszkaniem obszerném i tak rozłożoném, że mogła na wszystkie części gospodarstwa kobiecego pilne mieć oko. Jakoż na ciągłém znoszeniu, ustawianiu, przybijaniu zeszedł dzień boży. Wieczorem zmęczona rzuciła się na kanapę w sypialnym pokoju, a ja szczebiocząc zasnąłem powoli na jéj kolanach. Służąca postawiła swiece, podała herbatę, i zaczęła rozpowiadać różne banialuki o strachach murowanego dworu, o których jéj stary miejscowy nabajał ogrodnik. Matka śmiała się i żartowała z jéj łatwowierności, gdy tymczasem mocny wicher zaszamotał oknami, zaczęło grzmieć, łyskać się i deszcz lunął jak z cebra.

— Ach dobry Boże! co się tam z moim dzieje? pewnie go w drodze napadła burza; rzekła moja matka składając ręce.

— Toby gorsze było jak wszystko, wtrąci bojaźliwie służąca, na całe obejście żywego ducha niema, prócz głuchéj klucznicy i krowiarki, a bór świętokrzyski dokoła; najlepiéj niechby pani kazała przyjść furmanowi i wartować przez noc.

— A któż zostanie przy koniach? zarzuci matka, ich prędzéj co złego niż nas może spotkać, a wreszcie jestem pewną, że mój nadjedzie.

Jeszcze jakiś czas rozmawiały; burza wciąż szumiała; mnie położono w kolebce; służąca robiła pończochę i zaczęła drzemać. Tobie się spać chce Małgorzato, rzeknie moja matka, idź wyśpiy się do jutrzejszéj pracy, a ja będę czekać na męża, czy nadjedzie. Małgorzata wymawiała się tém, że nierada opuszczać pani, lecz na zaręczenie jéj, iż się niczego nie lęka, poszła do swego pokoju, zawezwawszy na straż bezpieczeństwa głuchą klucznicę. Zamknąwszy dobrze sień i drzwi od sypialni, matka moja nakręciła zegar, który właśnie pół do jedynastéj uderzył postanowiwszy nie kłaść się, choć walczyła ze snem przywierającym jéj powieki. Przechodziła się wzdłuż i w szerz po téj komnacie, która teraz dopiéro wydała się jéj okropnie posępną; sufit bowiem malowany olejno obwisł i w starości swojéj ledwie pozwalał odgadnąć herb i jakieś symboliczne figury; złocone ramy czas poczernił; ściany powleczone chińskim obiciem, za którém szwadrony myszy harcowały, a nad małżeńskiem łożem wisiał duży portret z wyobrażeniem króla Jana, pod nim mały wizerunek na blasze najświętszéj panny częstochowskiéj; pierwszy należał do inwentarza, drugi był naszą familijną własnością. Około północy, kiedy słuch się jéj zmordował łowieniem odgłosu zajechać mającéj bryczki, kiedy mimowolna trwoga zaczęła ściskać serce, przystąpiła do mojéj kolebki, pocałowała śpiącego i ukląknąwszy przed cudownym obrazem, modliła się gorąco o szczęśliwy powrót małżonka. Modlitwa ta odbywała się we wewnętrznym rozmyślaniu a czasem w głośném westchnieniu, w miarę jak obawa nią miotała; wzrok zaś często zwracał się ku obrazowi, niby odgadując odpowiedź w nieruchomych rysach bogarodzicy. — W jedném z takich uniesień oko jéj podniosło się wyżéj i zawisło na ogromnéj wspaniałéj twarzy króla Jana.... Zdawało się jéj że wzrok portretu był na nią zwrócony i że przenikał do głębi.... Ale o cudo! król Jan mrugnął. Nie wierzy sobie, przeciera oczy, żegna się i patrzy; swieca za nią stojąca na stole odbija się jak w dwóch gwiazdach na ciemném tle płótna. To wszystko senne złudzenie! pomyślała i śpilką zakłuła się w rękę. — Patrzy znowu... powtórnie mrugnął!... Mruga i jeszcze mruga. To już nie sen; ona przy zmysłach, czuje i widzi. Słucha... jakiś szmer za portretem, jeszcze raz odważa się spojrzeć ale oczu już niema! Na ich miejscu dwa wielkie ciemne doły.... Co się z nieszczęśliwą matką podówczas działo, nieumiem ci opisać, bo i ona opowiadając to zawsze w tym punkcie przymilkała, jakby mierząc ogrom przestrachu i słabość siły swojéj, że go znieść zdołała. Jednakże w ważnéj téj chwili pokazała się niepospolitą bohaterką; rozwaga wzięła górę nad uczuciem i naprowadziła ją na myśl że w domu tym pełnym kryjówek, mógł się zakraść nikt inny jak złodziéj, czatujący zapewne na pełną szkatułę jéj męża. Cóż pozostało jeżeli nie stłumić wszelki przestrach, a nawet ukryć najdrobniejszy pozór podejrzenia? Mimo tego pomysłu co ducha jéj pokrzepił, nie miała jednakże dość siły ażeby podnieść się z ziemi; szczęściem zacząłem kwilić w kolebce, to wróciło jéj pamięć na drogą jeszcze istotę, tak blisko niéj będącą. Zerwała się, uchwyciła mnie konwulsyjnie na ręce i tuląc na piersi usiadła w kącie kanapy.

— Niczego teraz się nie boję! myślała, twoja niewinność oboje nas obroni.

Uspokojenie nie przychodziło tak prędko: deszcz zdawał się zwiększać; jeżeli mąż nie nadjedzie, będzie musiała całą noc przepędzić pod okiem zbójcy, a Bóg wie jakie on knuje zamiary! Przychodziła jéj myśl porwać mnie, rzucić się ku drzwiom i uciekać... ale dokąd, gdzie szukać pomocy? Choćby wpadła na wieś, któż jéj zaręczy, że dokoła domu nie cza-

tują wspólnicy? Czuwać do dnia białego?... To jedno co rozbudzić podejrzenie w szpiegujących oczach, co wywołać złoczyńcę, aby miasto kradzieży popełnił morderstwo. Kiedy tak rozmyśla, zegar pierwszą uderzył.

— Już się go nie doczekam! — zawołała dość głośno, — położę się, bom zmorzona.

I układłszy mnie na swojém łóżku, zaczęła powoli rozbierać się to rozczesując włosy i chowając je pod nocny czepek, to rozwięzując całe pół godziny wstążkę u trzewika, to drugie pół odpinając haftkę u sukni... A słuch jéj ciągle wytężony: na dworze, deszcz zdawał się ustawać, tylko wiatr szumiał... już nie wie, jak dokończyć téj okropnéj roli. Podobna temu rycerzowi, co w walce straciwszy sztukę po sztuce ze swojéj broni, jeszcze kawałkiem naramiennika się zastawia, tak ona resztkami swego ubioru usiłowała przewlec chwilę wejścia do łóżka, na którém mogła czuć oddech i bicie serca utajonego złoczyńcy. Już zegar drugą uderzył, już trudno odwlekać; niech co chce się stanie, westchnęła gorąco i biegnie położyć się. W tém czy nie złuda? słucha, coś pod oknem zaturkotało... trzask bicza i głos dobrze jéj znany.

— To mąż, to Franuś! krzyknęła, lecąc drzwi otworzyć, i niebawem wszedł mój ojciec dobrze przemokły, a za nim służący, który zaczął znosić tłomoki.

— Ty nie śpisz jeszcze moja Maryniu! mówił do wiszącéj na jego szyi, co ci to? drzysz cała, uspokój się duszo!

Ale ona prawie omdlewając padła mu na ramiona, tak, że musiał ją złożyć na sofie.

— Nie gniewaj się na mnie Bóg świadkiem, nie mogłem pierwéj przyjechać, bo ten przeklęty deszcz tak nas złapał, żeśmy musieli ztąd o ćwierć mili w karczmie przeczekać.

— Ach nie, mój drogi! ja tak szczęśliwa z twego przybycia!

— Alboż co złego stało się ci bezemnie?...

— Nic, nic, i cisnęła go mocno za rękę.

— Nie rozumiem cię, cóż to jest?..

Ona położyła palec na usta i rzekła donośnie:

— A interes czy dobrze ci poszedł?

— Wybornie! Oto pięćset sztuk złota gotówką, i brzęknął workiem.

— Trzeba je zachować do biórka, które postawiłam obok naszego pokoju, u ciebie jest kluczyk.

— Będzie dość czasu jutro.

— Lepiéj teraz! Zobaczysz jak w dobrém miejscu stoi, mówiła pieszczenie, ciągnąc go za sobą.

Po krótkiéj rozmowie w drugiéj izbie wyszedł mój ojciec trochę zmieszany, spojrzał ukosem na portret króla Jana i rzekł do lokaja: Zostań tu Macieju, a ja tymczasem rozporządzę ludźmi co resztę naszych rzeczy przywieźli.

Nie minęło kilka pacierzy, a drzwi od sypialni otworzyły się na oścież i wszedł mój ojciec w towarzystwie ekonoma i kilkunastu chłopów z ogromnemi drągami.

— Macieju, pistolety moje! — obejrzał podsypkę, a odwiodłszy kurek, posunął ku obrazowi.

— Wychódź złoczyńczo! — krzyknął piorunującym głosem.

Podstarości i reszta czeladzi otworzyli zdziwione oczy na tę osobliwą przedmowę do portretu.

— Wychódź, bo wypalę!

— Kapitulujmy! odezwał się głos za płótnem.

— Z mistrzem na szubienicy! — odrzekł mój ojciec.

— Kiedy tak, to jeszcze mam nadzieję wygranéj.

I za pociśnieniem sprężyny portret się otworzył, a w dość szczupłéj framudze, okazała się pieniacka postać rabusia, który robiąc bardzo grzeczny ukłon, powitał całą kompanię, i wypalił duser méj matce.

— To Bogusławski! krzyknął podstarości, świecę do jego twarzy zbliżywszy, wpadłeś ptaszku do klatki, tą razą pewnie podyndasz: héj! chłopcy, wiązać go! Rząd wyznaczył sowitą nagrodę za niego.

— Prędzéj ucho swoje zobaczysz, jak tysiąc talarów nałożonych na moją głowę; odrzekł rozbójnik obojętnie, gdy go krępowano powrozami.

— I dotrzymałże podstarościemu, zapytałem przerywając opowiadanie.

— W rzeczy samej, téj nocy, któréj go dostawił do sądu kryminalnego uciekł.

— I jakimże sposobem? zapytałem.

— Cudownym. — Wyobraź sobie kiedy go dostawiono do Kielc; dla spóźnionéj godziny, nie zamknięto do kryminału, lecz do ratusza; obstawiwszy gęsto wartami. Na drugi dzień gdy przyszli po niego, żywego ducha nie znaleźli, choć ani mur był przebity, ani kraty wyłamane, ani w komin się schował, bo nawet pieca nie było w téj izbie. — Pogłupieli wszyscy, i byli pewni, że ma współkę z djabłem. A on śmiał się z nich w duchu pod podłogą; albowiem znalazłszy źle przybite deski, podniósł je, ubił ziemię i sam się położył pod niemi. — Upatrzywszy chwilę, gdy izba niebyła zamknięta, wyszedł, i okradł jeszcze burmistrza.

— A ekonom-że dostał nagrodę? — zagadłem.

— Gdzietam; ledwie go kilkunastą talarami pokwitowano.

— Oto masz koniec téj okropnéj sceny; wszyscy z niéj wyszli dość obronną ręką, prócz mojéj matki, która bohaterstwo swoje odchorowała śmiertelnie, i starego ogrodnika, który jak się okazało, był z Bogusławskim w porozumieniu, za co go sąd skazał na lat kilka do więzienia.

— Serdecznie ci dziękuję za twoją powieść; ale czy słyszysz: trzy kwadranse na pierwszą! — Obiad stracony! Tarde venientibus ossa.

Kobiety i uczoność.

(Ciąg dalszy.)

Konsul Paweł Emiliusz, sławny zwycięzca Perseusza króla Macedończyków, nie był równie szczęśliwym małżonkiem, jak wojownikiem. Papirya z wysokiego rodu, najpiękniejsza z kobiet w Rzymie, była jego żoną. Mężowie zazdrościli jéj nauki, a matrony rzymskie pięknych dzieci. Emiliusz najszczęśliwszy na pozór z małżonków, wniósł przecież o rozwód. Ganili mu to przyjaciele i wystawiali zalety wysokie żony. A on im na to, wskazując na sandały: „oto piękne, ozdobne i nowe obuwie, a jednak mnie ciśnie.“ Nie byłoć to bardzo grzeczne porównanie, jak na owe czasy. Ale może być, że odtąd urosło przysłowie, którém Niemiec oznacza małżonka najszczęśliwszego z najnieszczęśliwszych, mówiąc o nim, że jest pod pantoflem; i może, że nasz zwyczaj pić zdrowie dam z trzewika zdjętego z maluchnéj zgrabnéj nóżki, znamionuje także owo słodkie jarzmo, któremu się niekiedy mężczyzni poddają, gdy jak to mówią, chodzą w kobiecéj sukni.

Wszakże różne są gatunki, takich trzewików, co cisną. Weber w swoim Demokrycie powiada, że Mojżesz w Egipcie zapomniał jeszcze o czterech plagach, którémiby był mógł Faraona i jego lud ukarać. Niechby im tylko był nasłał z kolei kobiety uczone, sentymentalne, kokietki i dewotki, a byłby sprowadził na ród mężów zazdrość, cierpienia, szaleństwo i śmierć. Dziś jeszcze dodaje autor nie jednego męża wpędzają one do grobu lub do domu obłąkanych, a lekarze lecząc mężów, powinni naprzód w to zazierać, ażali choroba nie leży w trzewiku szczęśliwości.

Sentymentalność, to prawda że choroba, a każda choroba, gdy przydługa, mężowi się uprzykrzy i samego rozchoruje; — dewocya także gotowa męża przywieść do rozpaczy, bo żona poczytuje sobie za grzech spojrzeć nawet na niego i zawsze ją ma w niebie, nigdy na ziemi; — nareszcie koketerya, co też galanteryą i dobrym tonem, salonowością nazywają — to tylko tłumaczenie greckiego wyrazu pornaja, a za to wszystkie wyznania i wszystkie ludy rozwód dawały. — Ale aby uczoność kobiet tak cisnęła mężów, któż to uwierzy? Nie jestże to raczéj blask świetny, który kobieta domowi przynosi? nie powinienże mąż poszczycać się żoną, któréj skronie nauki liść dębowy, zamiast róż miłości uwieńcza? Jeżeli dumną była z tego niegdyś żona Fichtego filozofa, że siedząc obok katedry, podawała mu kartę po karcie z poszytu do odczytania, przed liczną publicznością, zacóż nie miałby to sobie poczytać za zaszczyt mąż, że skupuje żonie swéj papier i pióra do napisania filozofii, — że potém odczytuje gromkim głosem głębokie pomysły kobiece, by w słowiczym i kolibrowym jéj głosie orli lot myśli, i siła jéj nie straciły? A jeżeli przenieść należy duchowość nad materyalność, iedealność nad realność, myśl wielką nad zatrudnienie podrzędne, godziwa téż przenieść filozofią i poezyą nad gospodarstwo domowe; można nawet dla myśli wzniosłych pozwolić, że ogród zajdzie chwastem, a w domu trocha będzie nieładu i nieporządku; można się niegniewać i o małe zapomnienia w wychowaniu dzieci, zdając je na bony i na nauczycieli, i o drobne niedogodności mężowe, gdy mu czasem zabraknie porządnéj i czystéj bielizny, a śpiżarnia i apteczka pustkami stoją.

Zkąd przywiléj mężom, aby o nich żony pamiętały, gdy sami trudniąc się naukami, zakopią się w nich po uszy, i już o niczém nie myślą? Niechże i mężowie radzą o potrzebach domu, i o kuchni, i o praniu, kiedy im się wydarzy zaszczyt, mieć żony uczone. Znów więc tylko prawo mocniejszego nadało mężczyznom przewagę, i z uczoności, która, zacóżby niemiała i kobiety zalecać, wymarzyli przywarę niewiast, jak gdyby niewiasta dla tego tak była nazwaną, że jest niewiadomością samą, i nic wiedzieć nie powinna.

Uczoność jako taka, jeżeli jest sama dobra, nie może się stać złą w kobiecie. Muszą więc być inne jakie usterki i niedogodności, które przy uczoności kobiecéj mężom się niepodobają, i są, jak Paweł Emiliusz powiedział, na podobieństwo pięknego, ale cisnącego obuwia. — Zdaje się, że u większéj części kobiet jest tylko pretensya do uczoności, a nie uczoność sama. Tworzy się z ciekawości, mnogiego czytania, bez strawienia tych ogromnych zasobów cudzych myśli. Niejedna z dam piszących, a i z tych nawet, co o filozofii piszą, prawi o Platonach, Arystotelesach, Kartezyuszach, Spinozach, Heglach, i innych potęgach rozumów mezkich. Ale gdybyśmy się zapytali, czyli

czytała kiedy dzieła tych mężów, albo przynajmniéj czy wie, o czém pisali, musielibyśmy odpowiedzieć, jak Krasicki we wstępie do Bajek:

— — — — wszystko to być może,
Jednakże ja to między bajki włożę.

Kobiety lubią wiele czytać, ale nic takiego, coby ich myśl mordowało. Samo wyobrażenie, że to może być coś ciężkiego, już je odstrasza. Pewna dama czytała życia sławnych mężów Plutarcha w tłumaczeniu francuzkiém pana Dacier, i czytała je z ukontentowaniem, rozumiejąc, że czyta powieści. Gdy jéj powiedziano, że to historya, a do tego pisarza, który żył na półtora tysiąca lat przed nami, porzuciła czytanie.

Ta więc niegruntowność i płytkość, którą najczęściéj kobiety za uczoność biorą, od razu stawia je w fałszywém do świata świetle, a przez grzeczność mężczyzn, hołdy i uwielbienia, są jak królowe, którym nikt prawdy nie powie, i dla tego się w błędach swych poznać nie mogą.

Druga wada uczonych kobiet jest ta, że lubią niesłychanie wiele mówić, i wiele pisać. Już Milton, snać własném doświadczeniem pouczony, odrzekł dość cierpko przyjaciółkom swoim na zarzut, że córek swoich obcych języków uczyć nie każe: „dosyć moje panie kobiecym językom na jednéj mowie.“ Lubią mówić o wszystkiém i o wszystkich, a zawsze z pretensyą, żeby ich słuchano. Zdarzyło się, że przedstawiono pewnéj uczonéj damie męża znakomitego talentem i dowcipem. Rozmawiała z nim, a raczéj do niego, długo, pytała o to i o owo, ale nigdy nie czekała odpowiedzi. Chwaląc kilka dni potém jego zdatności, zadziwiła się niepomału, gdy się dowiedziała, że to był głuchoniemy, znamienity w piórze, ale nie w mowie.

Jeżeliby więc przedmiotem tak obfitéj wielomowności miały być rzeczy uczone, — ciężkie zmordują — płytkie znudzą każdego. Nic dziwnego zatém, że mężczyzna nieraz wskazany na odegranie roli słuchacza w kolegium takiéj professorki, któréj nawet poklask oddać grzeczność każe; gdy dosyć naprzytakiwał się i giesty i uśmiechem, nareszcie jak Mefistofeles w balladzie Mickiewicza:

Nadstawia tylko pół ucha
Pół oka zwraca do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki
— — — — — — — — —
I dotąd jak czmycha, tak czmycha.

Seneka powiedział, i wzięło to sobie za godło wiele uczonych mężów, że życie bez nauki śmiercią jest, (vita sine literis mors est.) W łacińskim języku literae znaczy naukę i listy. W tém to drugiém znaczeniu wzięły sobie owo godło i kobiety uczone. Pisać listy stało im się potrzebą życia. Michał Grabowski, przekonany jak to wszystko, co pisze, nieoszacowanéj jest wartości, i jaką stratę poniosłaby publiczność z czasu, który licznym korespondencyom poświęca, postanowił odtąd odpisy swoje na listy tak urządzać, aby do druku mogły być podane i już otrzymaliśmy jeden tomik takich korespondencyi autora literatury i krytyki. Biada czytelnikom, gdyby nasze autorki podobną wartość chciały przyłożyć do swoich korespondencyi. Zalałyby nas powodzią książek. Mamy tego przykłady za granicą. Sławne listy księżnéj Karoliny Orleańskiéj są po 20. stronnic, a listy księżny Walis są po 40. stronnic długie. Sama w nich wyznaje, że palce jéj posztywniały od pisania. Nie chcemy ubliżać listom pani Sevignè, de Genlis, Lepinasse i innych głośnych listopisarek, acz i tam wiele piękności stylu, przy małéj nader treści, ale ktoś może nie niesłuszną zrobił uwagę, że listy kobiece najważniejsze są w postkryptach czyli dopiskach. Tak pewna wdowa, podobno we Włoszech, pisząc do nieżonatego mężczyzny w interesie spadku męża, przeprasza w dopisku za pospiech, bo turbuje ją dziecko chorowite, nie rokujące życia, jedyna pociecha po mężu, i dodaje: cóż mi po moich sto tysięcach, co po mojéj młodości! Inna, podobno sentymentalna Niemka, rozpisała cały list żalu i rozpaczy, o zawiedzionéj miłości, o czarnéj melancholii, o odebraniu sobie życia, a w przypisku na przyjaźń zaklina powiernicę serca swego, aby jéj nie zapomniała przysłać stroik jaki modny na głowę, bo będzie wielki wieczór w sąsiedztwie.

Ponieważ jednak te listy są najlepsze, które są najbardziéj naturalne, możnaby powyższe próbki położyć na karb naturalności, a zatém zalety pisania listów, — atoli w rozprawach uczonych nie tak łatwo takie naśladowanie natury dałoby się usprawiedliwić.

Dalsze niedogodności z uczoności kobiet, jest wychodzenie ich z po za sfery kobiecéj, unikanie kobiet, a chęć przestawania z samymi mężczyznami. Krystyna królowa Szwedzka, może najuczeńsza z kobiet swego wieku, nie odwiedzała ani przestawała z żadną kobietą, prócz jednéj Ninon de l'Enclos. Obcując z mężami, gdzie im dorównać rozumem nie mogła, zazdrość ją pobierała. Samo męztwo mężczyzn było dla niéj przedmiotem zawiści. Kiedy Sobieski uwolnił Wiedeń od Turków, Krystyna, już wówczas po złożeniu korony, napisała do niego list

winszujący w bardzo pochlebnych wyrazach. Między innémi, wyznaje w tym liście, że jest niewdzięczną, gdyż wzbudził w niéj zazdrość, uczucie dotąd jéj nie znajome, którego żadna istota przed nim nie wzbudziła w jéj sercu. Nie zazdrości mu królestwa, lecz przydomku oswobodziciela chrześciaństwa. — W dalszém następstwie idzie naśladowanie zwyczajów męskich, tak źle odbijające od wdzięków niewieścich, w końcu ubieranie się nawet po męsku, jak to czyniła du Deffand.

Leży w tém jakaś utajona krytyka, bo zdaje się jak gdyby uczoność i autorstwo były nienormalnym stanem w kobiecie, skoro ją z kobiecości, aż do sukni wyzuwają. Natura przecież nigdy w masce nie chodzi, i nie da się żadném domino obrzucić. Trudno i w przebranéj kobiecie, choćby i w filozofce, nie widzieć i nie przeczuwać połowicy Adamowéj. Są prawda wyjątki, i nieraz natura męska, przez jakąś anomalią, przedzierzgła się w przymioty ciała niewieście. Za czasów Ludwika XV. sławną była pod tym względem d'Eon de Beaumont, zaraz z młodu okazywała skłonności męskie i wychowała się po męsku. Została z kolei prawnikiem, oficerem, posłem i autorem, odznaczając się świetnie w każdym zawodzie tak różnego powołania. Nie chciano wierzyć jéj płci, i lordowie angielscy robili o to zakłady, bez nadziei wyjaśnienia rzeczy. Aż Ludwik XV. sprowadził ją z Londynu, i kazał jéj chodzić w sukniach kobiecych.

Rewolucya francuzka zastała ją jeszcze w pełni wieku. Beaumont ofiarowała nadaremnie swoje usługi, prosząc o stopień oficera. Republikanie czy nie dowierzali, czy wstręt czuli do istoty, będącéj z ducha mężem, z ciała kobietą. Wróciła do Londynu i tam — po wytartych wdziękach na trudach męskich — obudzając ckliwość tylko, umarła w nędzy. Prawdziwie politowania godna ofiara igraszki natury!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MODY.

Paryż, dnia 20. Września 1843.

Tkaniny w białych kolorach, w kratkę, w pasy bardzo się podobają. Już widać, iż zima nadchodzi, bo kapelusze aksamitne i atłasowe w miejsce słomianych następują. Suknie wyrabiają po większéj części z szkockiego taftu w kratkę, która jest lilijową i zieloną na tle białém, wiśniową i brunatną na różowém, brunatną i różową na tle niebieskiém. Staniki zachodzą wysoko à la vierge, rękawy à la Louis XIII., a u wielu powłok żadnego niemasz garnituru. I bareż ciągle się podoba, a najbardziéj podobają się kolory niebieski, szary i biały. Mantylle całkiém są z koronek, kryspiny z bardzo cienkiego muślinu.

Pekiny w pasy i marmurkowe grosdenaple przed innemi zasługują na uwagę tych dam, które modom ton nadają. Suknie z tych sutych jedwabnych tkanin bywają często oszywane trzema pasami czarnéj gazy, które tworzą pewien rodzaj fartuszka. Powłoka nie ma ukosów, niemal żadnego oszycia; ukośne pasy w staniku rozszerzają się ku ramionom, a w środku piersi się schodzą.

Do tych sukien najczęściéj noszą kamel, orzucony kosztownemi koronkami.

Starają się teraz wynaleść nowy ubiór negliżowy, któryby zastąpił dawne rospuszczone opończe. Jednym z tych nowszych ubiorów jest pewien rodzaj dużego kamelu, a przynajmniéj jemu podobny, wyrobiony z atłasu, podszyty floransem i lekko watowany.

Szlafroczki najczęściéj robią z toiliny, bareżu i jedwabiów w pasy lub jednokolorowych. Peleryny u nich na przodzie są otwarte i dozwalają dojrzeć stanika i kibici. Obszerne rękawy, nazywane à la Louis XIII., nie są pozbawione pewnego uroku, bo z pod nich wyglądają piękne podrękawy batystowe lub z indyjskiego muślinu.

Na ubiory do wyjścia na miasto wybierają tafty połyskujące, mory, pasiaste pekiny i wełniane muśliny, jako też białe chińskie szale krepowe lub szale jedwabne w kolorze płonącego ognia, bladozielone, biało haftowane także się podobają.

Z kwiatów są teraz ulubione maki, róże, tulipany, kamelie, połączone girlandą liścia.

Te girlandy rościelają się po całym szalu i nadają mu piękny urok.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut z szerokiemi wyłogami, obcisłemi rękawami. Białe pantalony.
2. Surdut jak u 1. Pantalony w kratkę.
3. Kapotka zdobna kwiatami i zasłoną. Długie wstążki do podwiązania. Suknia w szerokie pasy; wysoko zachodzący, gładki stanik, obcisłe rękawy z żokejami, na powłoce szeroka falbana. Szerokie mankietki koronkowe, ku ręce zwrócone.
4. Kapelusz z zielonego jedwabiu, strojny kwiatami. Suknia ze stanikiem bluzowym i obcisłemi, jednak we fałdy ułożonemi rękawami. Przepaska z długiemi końcami.
5. i 6. Ubiory dla dzieci.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*